

Niedawno ukazała się ważna, chociaż opatrzona żartobliwym tytułem monografia prof. Ryszarda Markiewicza „Zabawy z prawem autorskim” (Wolters Kluwer 2015 r.). Osoby zajmujące się prawem autorskim lub odpowiedzialne za gromadzenie zbiorów bibliotecznych na uczelniach i w kancelariach prawniczych nie mogą przeoczyć tej pozycji.

To najważniejsza w polskiej literaturze prawniczej, choć nietypowa w formie monografia o granicach rozmaitych typów własności autorskiej, poczynając od tradycyjnych utworów (np. dzieł literackich) po dzieła sztuk pięknych i fotograficzne. Pomysł, aby rozważyć tę złożoną problematykę przy użyciu ilustracji, jest tak oczywisty, że czytelnik zadaje sobie pytanie, dlaczego do tej pory nikt jej nie wykorzystał w prowadzeniu dyskursu naukowego i dydaktyki.

Ryszard Markiewicz przyznaje jednak na wstępie, że naśladuje swych nielicznych poprzedników, którzy zastosowali z powodzeniem analogiczną formę przekazu (np. R. Gorman i J. Ginsburg, autorów szeroko używanych na uczelniach amerykańskich materiałów do nauki prawa autorskiego, oraz M. Kummera, autora monografii „Das Urheberrechtlich schützbares Werk”, Bern 1968, w której zamieszczono wiele reprodukcji dzieł sztuki).

Wiatrak wśród zadań

Monografie otwierają rozważania o konsekwencjach prawnych opublikowania pewnego rysunku zamieszczonego przez Centralną Komisję Egzaminacyjną w raporcie „Komentarz do zadań z matematyki” (2006 r.). Wysoka komisja opatrzyła go podpisem: „Rysunek powyższy pochodzi z arkusza egzaminacyjnego jednego z tegorocznych zdających. Był to jedyny rezultat intelektualnej pracy podczas egzaminu z matematyki, który zdający dostarczył egzaminatorowi do oceny”. Rysunek przedstawia wiatrak, budynek, wóz i kilka innych przedmiotów, które charakteryzuje skromny stopień oryginalności. Autor monografii rozważa, czy dopuszczalne było opublikowanie tego utworu bez zgody twórcy oraz jakie są konsekwencje niewskazania autorstwa. Czy publikacja narusza dobra osobiste autora, który mógł poczuć się osiśnięty? Profesor Markiewicz podkreśla, że trudno uzasadnić do-

Profesorские zabawy z prawem autorskim



STANISŁAW SOŁTYSYŃSKI

Czy mało oryginalny rysunek ucznia może być publikowany bez zgody jego twórcy? Unikatową monografię recenzuje profesor.

puszczalność opublikowania takiego dzieła w świetle przepisów ograniczających własność autorską w interesie publicznym. Przeciwko możliwości powołania się na szeroko ujmowane prawo cytowania przemawiają zarówno charakter utworu, jak i ograniczenie wolności korzystania w

„**To najważniejsza monografia w polskiej literaturze prawniczej o granicach własności autorskiej. I nietypowa, bo ilustrowana**

ten sposób z cudzych dzieł tylko do utworów rozpowszechnionych po raz pierwszy z zgodą autora. Wątpliwy

jest także argument, że mamy tu do czynienia z „materiałem urzędowym” w rozumieniu art. 4 pr. aut. Autor przyznaje, że ma wątpliwości, czy rysunek ucznia wolno zamieścić również w jego monografii. Nie chcąc narazić wydawcy „Rzeczpospolitej” na konflikt z prawem, z ostrożnością procesowej zrezygnowałem z umieszczenia opisanego utworu w recenzji. Przykład ten uwidacznia, jakie ryzyka niesie korzystanie z cudzych utworów nawet w dobrej wierze i w interesie publicznym, zwłaszcza gdy ustawodawstwa zawierają przepisy ze szczegółowymi listami dopuszczalnych postaci korzystania z cudzej twórczości bez zgody „właściciela” praw autorskich.

Profesor Markiewicz wskazuje, że korzystając z utworu bez zgody uprawnionego, można niekiedy powołać się na prawa płynące z konstytucji, którym judykatura przyznaje wyższą rangę niż ochronie konkretnego uprawnienia płynącego z własności intelektualnej. W opiswanym przypadku korzystanie z cudzego rysunku trudno jednak usprawiedli-

wić np. prawem swobody wypowiedzi lub krytyki cudzego dzieła. Z pewnością natomiast twórca nie może domagać się usunięcia wzoru jego tatuażu bezprawnie odwzorowanego np. na twarzy osoby nieuprawnionej.

Jeżus polecł po angielsku

Kolejne rozważania dotyczą pojęć utworu i przedmiotu prawa autorskiego. Problem ilustrują obrazki przedstawiające abstrakcje stworzone przez naturę (np. malowidło na szybie stworzone przez mróz i kolorową abstrakcję „autorstwa” używającej pędzla mały). Autor opisuje publikację „Kurs cudów”, spisanej przez prof. Helen Schyckman, która twierdziła, że stanowi ona zapis poleceń wydanych jej przez Jezusa w języku angielskim. Jej spadkobiercy wystąpili o naruszenie praw autorskich po przetłumaczeniu na język niemiecki książki, wydanej najpierw w wersji angielskiej. W 2014 r. Oberlandesgericht Frankfurt wydał orzeczenie, że wyłącznym autorem książki była osoba, która sporządziła jej zapis. Wcześniej problem osoby uprawnionej do autorstwa tego utworu, który ukazał się niedawno również w polskim przekładzie, trafił na wokandy sądu amerykańskiego.

Markiewicz relacjonuje także inne ciekawe precedensy sądowe dotyczące sporów związanych z definicją utworu, który według naszego prawa stanowi przedmiot prawa autorskiego „niezależnie od wartości, przeznaczenia i sposobu wyrażenia” (art. 1 pr. aut.). Mimo również pojemnej definicji utworu sąd niemiecki odmówił uznania za „żyjącą rzeźbę” dwóch znanych artystek. Markiewicz próbuje też wyklądnie, lecz zaznacza, że nie pozabawia to ochrony wizerunku artystek, charakterystyki i kostiumów oraz fotografii dokumentujących ich działalność.

To pożyczona zabawa

W żadnej dziedzinie prawa granice między domeną publiczną a domeną własności, czyli sferą praw wyłącznych, nie są tak płynne (nieodkryte) jak w prawie autorskim i w innych obszarach własności intelektualnej. Książka prof. Markiewicza zawiera bogatą dokumentację tego problemu nie tylko na przykładzie polskiego, lecz również zagranicznego orzecznictwa. Zastosowana w monografii metoda dydaktyki obrazkowej okazuje się bardzo przydatna, a często wręcz konieczna do wykaza-

nia np. braku indywidualnej (osobistej) twórczości. Zgadzać się, że zbyt łagodna interpretacja tego wymogu, zwłaszcza w odniesieniu do wyrobów użytkowych takich jak np. wzory, prowadziłaby do zakazów „wykorzystywania takich lub podobnie zdobionego szkła, np. do produkcji mebli, drzwi, przedmiotów szklanych, a także posługiwania się innymi materiałami (np. tkaninami, sztucznymi tworzywami), które przejmowałyby opisany wzór” (s. 34 i 35).

Książka prof. Markiewicza zawiera pogłębioną analizę wielu norm pr. aut., które zezwalają korzystać nie tylko z cudzych pomysłów autorskich niepodlegających ochronie na podstawie art. 4 pr. aut. (np. akty normatywne, urzędowe dokumenty, znaki, symbole i proste informacje prasowe), lecz także licznych i bardziej szczegółowych przepisów o dozwolonym użytku utworów (art. 23-35 pr. aut.). Szczególnie ciekawe są rozważania o granicach dozwolonego korzystania z cudzych dzieł na podstawie dopuszczalnego cytatu, parodii, satyry oraz wolności tworzenia dzieł inspirowanych cudzą twórczością (por. przykłady na s. 58-59). Autor relacjonuje również ciekawe spory, które znalazły się na wokandach naszych sądów (np. spory o prawa autorskie do krasnali wrocławskich oraz do logo i plakatu wyborczego „Solidarność”).

Książka R. Markiewicza dowodzi, że prawa autorskie trudno uznać za „do rzeczowych podobne”, jak twierdził jego znakomity krakowski poprzednik F. Zoll. Wystarczy porównać dopuszczalny użytek cudzych utworów w art. 23-40 oraz wyłączenia w art. 4 pr. aut. z wyjątkowo skromnym marginesem ingerencji w domenę cudzej własności rzeczy (por. art. 145-146, 149-150 k.c.). Różnice te uzasadniają odmienne funkcje społeczno-gospodarcze obu postaci własności.

Współczesna filozofia i psychologia podnoszą rangę zabawy, którą od czasów Platona kojarzono tylko z przyjemnością, która nie przynosi żadnej godnej wzmiarki szkody lub korzyści”. Już przedwojenny polski filozof Leon Chwistek definiował zabawę jako „taki sposób przeżywania świata rzeczywistego, który nie tylko dostarcza przyjemności, lecz także zapewnia równowagę i harmonię między człowiekiem a jego światem”. Zachęcam do lektury dzieła, gwarantując czytelnikowi wiele pożytków z uczestnictwa w tej zabawie. ©

Autor jest profesorem prawa, partnerem w kancelarii Sołtysyński Kawecki & Szczęsny



Felieton

Przyjdzie odwieść togi do szafy

ARKADIUSZ KOPER

W akacje to dobry czas, by podsumować mijające półrocze. Co zatem w ostatnich sześciu miesiącach wydarzyło się w profesjonalnych prawniczych zawodach zaufania publicznego – u radców prawnych i adwokatów?

Nie sposób nie zauważyć, że były to trudne miesiące. Skupię się na jednym przykładzie. Okazało się, że ustawa o nieodpłatnej pomocy prawnej, która miała być szansą dla wielu profesjonalnych pełnomocników i ich klientów, o czym tak gorąco zapewniali jej autorzy, dziwnym trafem w toku pac legislacyjnych uległa metamorfozie. Sejm uchwalił ustawę, która prosta droga może doprowadzić do bezrobocia tysięcy radców prawnych i adwokatów. Postawie nie dość, że wprowadzili magistrów prawa do grona profesjonalnych zawodów prawniczych, to jeszcze rozszerzyli katalog osób uprawnionych do korzystania z bezpłatnej pomocy prawnej o miliony zupełnie dobrze sytuowanych Polaków, których swobodnie na nią stać. Nie będą zatem skłonni płacić za coś, co mogą mieć za darmo. W efekcie zaś radcy prawni i adwokaci będą mogli odwieść togi do szafy i zarejestrować się jako bezrobotni. Stanie się tak niestety przy dość biernej postawie

przedstawicieli władz samorządów radcowskiego i adwokackiego, którzy uczestniczyli w procesie stanowienia tego złego prawa. Na starcie niemal holubili rzeczoną ustawę, ale teraz, nie mam wątpliwości, przystąpili do demonstracyjnych działań blokujących. Udzielają wywiadów, piszą sążniste artykuły – analizy, wręczając listy itp. Szkoda tylko, że dopiero na finiszu prac raczej w wymiarze PR-owskim.

Teraz to raczej lament nad rozlanym mlekiem, choć kilka miesięcy wcześniej przepasali dobry moment na niedopuszczenie do powstania tego złego projektu. Nie dopilnowali debaty w ministerstwie i procesie konsultacyjnym. Nie zrobili też nic, w momencie gdy zmieniono zapisy w trakcie jednego z posiedzeń Rady Ministrów. Mnie i moje koleżanki oraz moich kolegów z samorządu radców prawnych dziwi to tym bardziej, że w strukturze Krajowej Rady Radców Prawnych jest wyspecjalizowane eksperckie ciało dysponujące dużym budżetem i rzeszą specjalistów – Ośrodek Badań, Studiów i Legislacji, którego zadaniem jest m.in. uczestnictwo w procesie stanowienia prawa, zwłaszcza ustaw związanych z wykonywaniem naszego zawodu. Zignorowano też

niestety nasz głos („Rzecz o Prawie” z 1 kwietnia 2015 r., felieton „Gdyby Polacy wiedzieli...”).

Teraz wydaje się, że krzyk rozpaczy naszych decydentów ma przykryć ich własne zaniechania. Być może licza oni, że uzyskamy coś w Senacie. Moim zdaniem niewiele – być może będzie to zawiązanie katalogu osób, którym bezpłatna pomoc prawna przysługuje, bo obecne rozwiązanie zapewniające dobrodziejstwo tzw. prawa ubogich również dobrze sytuowanym jest elementem na skalę światową. Nie liczyłbym jednak na sukces w ograniczeniu uczestnictwa w tym systemie tzw. magistrów prawa. Tej zasadniczej dla nas kwestii nie przypilnowano, i to dawno temu. Teraz pozostaje nam tylko ronić łzy i rozpamiętywać gorzkie porażki. Zwrócę uwagę, że przedstawiciele samorządu radcowskiego biorący udział w pracach nad ustawą rozpoczęli jawną ofensywę zmierzającą do zablokowania tego rozwiązania dopiero po medialnej wrzawie, której byli głównymi aktorami. Dotyczyła ona właśnie ich biernej postawy w kwestii prerogatyw „magistrów prawa” w projekcie ustawy. Trudno, stało się... – można by rzec. Wszak jeden z klasyków mawiał, że

„prawdziwego mężczyźnę poznaje się po tym, jak kończy, a nie zaczyna”. Nasi reprezentanci – przenosząc na grunt relacji z zawodów sportowych – na starcie i dobiegu słabiuć, wręcz nie na bieźni, ale wspólnie z organizatorem zawodów na trybunie, jak jacyś ofiśle i VIP-y, ale już na finiszu zbiegli z trybuny honorowej, włożyli numery startowe, a niektórzy nawet koszulki liderów i biegną do mety. Duch sportowy widocznie wziął górę i walczą jak lwy, w błysku fleszy i świetle jupiterów, bo wiedzą, że media czekają na mecie, a tam jeszcze kwiaty z rąk pięknych modelek, szpaman, medale i kawior. Na szczęście media pokazują przeważnie przebieg zawodów sportowych w całości i chwala im za to, bo dzięki temu wiemy, że nasi reprezentanci w trakcie dostępnych online obrad komisji sejmowych jasno się wypowiedzieli, że oni już walczą nie będą, bo zaley im na szybkim wejściu w życie ustawy. Dlatego słowa podjękowania tysięcy radców prawnych należą się mediom. Dzięki nim wiemy, kumę kibicować. ©

Autor jest wicedzielnikiem Okręgowej Izby Radców Prawnych w Warszawie

dodatek tylko dla prenumeratorów „Rz”

INFOLINIA 800 12 01 95

zamów prenumeratę www.rp.pl/prenumerata



Bez dwóch zdań Mundurowi nie mogą narażać obywateli

MAREK DOMAGALSKI

Znów antyterrorysty pomylili adres i zdemolowali mieszkanie niewinnych osób. „Głos Wielkopolski”, który bliżej zbadał sprawę, informuje, że prawdopodobnie błędnie odczytali numer mieszkania, weszli pod 43, a przestępca mieszkał pod 45. „Weszli” jest tu zresztą słowem mylącym, gdyż zniszczyli drzwi i wrzucili granat hukowy, który zdemolował mieszkanie Bogu ducha winnych sąsiadów. Ranili też mężczyznę; kobieta nie doznała obrażeń, ale psychiczne mogą się jeszcze ujawnić. Strach pomyśleć, co mogłoby się zdarzyć, gdyby w mieszkaniu było niemowlę czy osoba ze słabym sercem.

Mogę zrozumieć, że takie środki są niezbędne, jeśli np. za drzwiami terrorysta grozi użyciem broni, ale to najwyraźniej nie ten przypadek. Nieszczęsna pomyłka może się zdarzyć, ale nie wtedy, kiedy mają być użyte tak radykalne środki. Poza tym to nie pierwszy taki eksces. Piotr D., do którego mieszkania na warszawskich Bieloniach wpadli swego czasu przez pomyłkę białostoccy antyterrorysty, wykonując polecenie zatrzymania groźnego przestępcy ze Wschodu, tak to przed sądem opisał: „Usłyszałem: „Policja, otwierać!”, otworzyłem drzwi

i zobaczyłem kogoś w kominiarce, a gdy odwróciłem się, chcąc przejść w głąb mieszkania, dostałem kopniaka, tak że znalazłem się przy oknie”. Prawnicy policji mówili, że ponoć światek kryminalny już na zawołanie „policja” „pada na ziemię”. Nie przekonali sędzi, która powiedziała, że nawet gdyby policja miała podstawy do użycia przymusu (a nie miała), to kopnięcie w plecy nie mieści się w dopuszczalnych środkach.

Właśnie, dopuszczalne środki – to kluczowe zagadnienie. Osobiście uważam, że takie przypadki (pomijając zupełne pomyłki) to skutek braku szacunku dla obywatela i jego praw chyba nazbyt wielu funkcjonariuszy. Może nawet przyzwolenia przełożonych na ich brutalność, na niedopuszczalne szafowanie siłą władzy. Należy się przy tej okazji rozprawić z argumentem, że twardość funkcjonariuszy ma im zapewnić bezpieczeństwo. Ich bezpieczeństwo, owszem, jest ważne, ale nie mogą ryzyka walki z przestępcami przerzucać na obywateli. Po to wybrali służbę, po to noszą mundury i broń, po to są szkoleni i mają ekstraopanie, żeby ryzykowali raczej swoje zdrowie czy życie, a nie zdrowie i życie obywateli. ☹

-ANALIZA „RZECZPOSPOLITEJ”

Sądy mają w plecy miesiąc orzekania



AGATA ŁUKASIEWICZ
Wprowadzenie kontradiktoryjnego procesu karnego budziło w ostatnich miesiącach duże emocje. Proces taki ma wiele zalet, ale jego przeciwnicy na razie są górnicy.

Pierwsze dwa tygodnie obowiązywania nowej procedury karnej pokazały, że reforma nie była do końca dobrze przygotowana. I choć sam proces kontradiktoryjny, który wymusza na stronach dużo większą aktywność, ma wielu zwolenników, to nawet oni narzekają na to, co się dzieje.

Setki rozpraw wyznaczonych na czas po 1 lipca jest odraczanych z blagiego – wydawać by się mogło – powodu. Wraz z nową procedurą należy pouczyć oskarżonych i pokrzywdzonych o przysługujące im prawa i obowiązki. Jednym z nich jest prawo oskarżonego do posiadania obrońcy. Mając szansę na profesjonalną obronę, a przy okazji i odwołanie w czasie wyroku, wielu z nich chce z tego skorzystać. Sąd, żeby wyznaczyć obrońcę, musi mieć czas. Tak więc sprawa jest odraczana, najczęściej na jesień. Taka jest terminowa rzeczywi-

stość polskich sądów. Czy można było temu zapobiec? Odpowiedź znaleźli sami sędziowie. Twierdzą, że tak jak w wielu innych reformach, które dotyczyły wymiaru sprawiedliwości, diabeł tkwi w szczegółach, czyli przepisach przejściowych. Te generalnie mają ułatwiać przejście ze starych przepisów na nowe i rozwiązywać kwestię tzw. spraw w toku, czyli tych, które właśnie trwają. Gdyby, jak twierdzą sędziowie, w noweli znalazł się przepis, który wprowadziłby obowiązek pouczenia kilka miesięcy wcześniej, to sądy miałyby czas poinformować oskarżonych. I to pisemnie. A nie mogły, bo przepis o pouczeniach jeszcze nie obowiązywał. A wystarczyło tak niewiele... To niewiele jednak wykorzystują teraz przeciwnicy procesu kontradiktoryjnego do potwierdzenia, że to, co mówili o kiepskim przygotowaniu reformy, było prawdą. ☹

-JAK ZOSTAŁAM PRAWNIKIEM..

DLA „RZECZPOSPOLITEJ”

Musiałam kupować alkohol

PROF. EWA NOWIŃSKA KIERUJE ZAKŁADEM PRAWA KONKURENCJI I ŚRODKÓW MASOWEGO PRZEKAZU NA UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM

W: Podobno bliżej pani było do sztuki niż do prawa.
PROF. EWA NOWIŃSKA: Ze szkolnymi przyjaciółmi interesowałam się historią sztuki. Prawie wszyscy jednak postanowiliśmy iść na prawo. I dobrze. Gdybym wybrała historię sztuki, teraz zapewne robiłabym na drutach pończochy. Czasy się tak zmieniły, że nie zawsze to, co człowieka fascynuje, pozwala godziwie żyć.

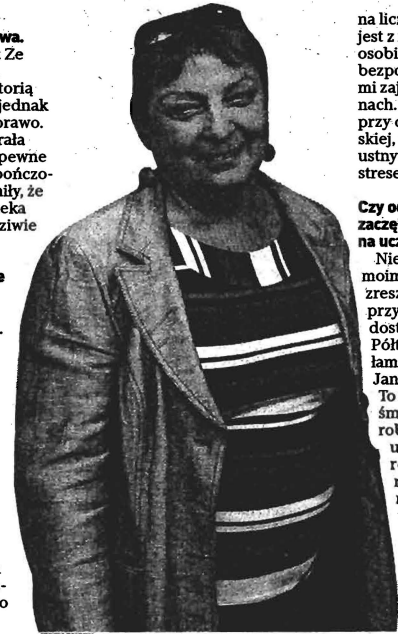
Jak wspomina pani życie studenckie?

Było bogate i naukowo, i kulturalnie. Sobotnie wieczory to przeważnie Piwnica pod Baranami, spotkania towarzyskie. Właściwie codziennie spotykałam się w słynnej kawiarni w Krzysztoforach, w której pani Joanna, znając stan naszych finansów, dawała studentom wrzutek, herbata była własna. Spotkań rozrywkowych też było dużo. Obowiązkowe było chodzenie do Starego Teatru, potem szło się niekiedy – już nieco mniej kulturalnie – na piwo na dworzec. To było jedyne otwarte o późnej porze źródło. Choć wystróż nie pozwalał przyluskać, było przyjemnie, bo byliśmy razem. To charakterystyczne czasy nieboszkańki komuny: żyliśmy w grupach towarzyskich.

A na uczelni?

W czasie moich studiów nasi wykładowcy, dla nas starcy (zapewne teraz jestem w ich wieku!), to były prawdziwe osobowości. Uczyli nas wielcy profesorowie, także z Uniwersytetu Lwowskiego. Ich wiedza była imponująca, ale bałam się ich straszliwie. Kiedy egzamin przypadał w dzień deszczowy, modliłam się, aby choć odrobnie słońca. Reumatyzm odbierał profesorom życie.

Wykładowi wybitni uczeni, jak choćby Wolter, Nahlik, Krzyżanowski, Gwiazdomorski, Vetulani i wielu innych. Mieliliśmy np. niezwykle



JERZY DUDKIN

profesora Wacława Osuchowskiego, wybitnego znawcę prawa rzymskiego. Profesor miał poczucie humoru. Jeden z moich kolegów nie bardzo przygotował się do egzaminu, co zresztą wobec ogromu materiału nie było takie dziwne. Profesor Osuchowski stwierdził, że skoro nie ma wiadomości merytorycznych, to może chociaż błysnie rozrywkowymi. Spytał go więc, czy jego dziewczyna mogłaby w Rzymie prowadzić dom publiczny. Niezrażony pytaniem student stwierdził, że jego dziewczyna nie, ale żona profesora już tak, ponieważ wedle prawa rzymskiego kobiety mogły mieć własny majątek, który jednak musiał być zarządzany przez mężczyznę.

Współcześnie zadajemy sobie pytanie, czy studentom są potrzebne autorytety, jakimi dla nas byli nasi wykładowcy. Nawet jeśli tak, to ze względu

na liczbę słuchaczy trudno jest z nimi nawiązać kontakt osobisty. Nie spotykają się bezpośrednio z prowadzącymi zajęcia nawet na egzaminach. Potem, w szczególności przy obronie pracy magisterskiej, okazuje się, że egzamin ustny jest dla nich ogromnym stresem.

Czy od razu po studiach zaczęła pani pracę na uczelni?

Nie. Praca na uczelni była moim marzeniem, jak zresztą większość moich przyjaciół. Najpierw dostałam nakaz pracy. Piótra roku przepracowałam, razem z profesorem Januszem Bartą, na kole. To był koszmarny. Stuzylismy przede wszystkim do robienia zakupów dla urzędników, w tym różnego rodzaju napojów, także mocnych. Pili ze szklanek wyglądających jak herbata tzw. przepalankę, czyli wódkę z karmelizowanym cukrem. Uczyliśmy się też pisać na ówczesnym nowym urządzeniu, tj. na maszynie elektrycznej. Próbowaliśmy – z nudów – nawet napisać książkę.

Jaką?

To miało być jakieś straszliwe romansidło, nie przypominam sobie tematyki. Na całe szczęście jej nie ukończyliśmy, bo dostaliśmy pracę na uczelni. Profesor Stefan Grzybowski wywalczył możliwość otwarcia instytutu naukowego zajmującego się prawnymi aspektami własności intelektualnej. Powstał z początkiem lat 70. pod nazwą Międzyuczelniany Instytut Własności Intelektualnej. Przez długie lata był jedyną taką jednostką naukową w Polsce. Teraz mieści się w strukturze Wydziału Prawa i Administracji UJ jako Katedra Prawa Własności Intelektualnej. Zostałam jego pierwszym pracownikiem. I tak się zaczęła moja trwająca do dziś przygoda z nauką. ☹

—rozmawiała Katarzyna Wójcik

-RYSUJE SĘDZIA ARKADIUSZ KRUPA

